

BARDZO DALEKI BORNHOLM

Andrzej Napierkowski

Mateusz Kusznierewicz opowiadał mi, jak raz podczas treningu na morzu w odległości kilkudziesięciu metrów od jego Finna wynurzyła się ogromna łódź podwodna... Szok! Przypomniałem sobie, jakie wrażenie robi ściana masowca wyrastająca tuż przed jachtem. I to w ostatnich chwilach rejsu, który miał wyglądać zupełnie inaczej...

Kapitan z bukietu kwiatów

Wraz z przyjaciółmi postanowiliśmy odbyć tygodniowy rejs bałtycki. Trasa Puck-Bornholm-Puck - dziecinnie proste, a jednak... Schody zaczęły się bardzo wcześniej, czyli po prostu jeszcze przed rozpoczęciem wyprawy. W ostatniej chwili okazało się, że nie ma kapitana - osoby, bądź co bądź, dość istotnej. Na szczęście był *DAR PUCKA*. Piękna nowoczesna linia, w miarę nowoczesny osprzęt, jacht dzielny i szybki - słowem niczego nie brakowało. Z wyjątkiem wspomnianej osoby.

Nie daliśmy oczywiście za wygraną. Część zespołu rozpoczęła ładowanie maneli na pokład, a ja z niejakim „Marcelem” rozpoczęliśmy poszukiwania przyszłego dowódcy okrętu. Przed północą powróciliśmy z Gdyni z niczym. Nie daliśmy jednak za wygraną. Stańto na tym, że kapitanem będzie „Marcel”, który właśnie uznał, że posiada niezgorszej jakości morskie

uprawnienia, ja będę pierwszym. Nie sposób sobie wyobrazić, by takich dwóch zuchów nie doprowadziło bezpiecznie jachtu tam i z powrotem.

Start nie nastąpił jednak szybko. Kiedy już bowiem cumy zostały niemal oddane, „Marcel” przypomniał sobie, że nie dysponuje ważnymi badaniami lekarskimi. Ręce mi opadły, ale nie na długo. Pięć minut później niosłem bukiet dorodnych kwiatków, ciętych potajemnie z klombu zdobiącego okolice urzędu. Przeznaczone były dla uroczej damy, mistrzyni sztuk medycznych, która właśnie w szpitalu miejskim pełniła nocny dyżur. Frekwencja pobitych i rannych była zera, więc z czystym sumieniem wpełchnąłem „Marcela” do gabinetu.

- To dobry człowiek, ten „Marcel” - przedstawiłem niewielką wzrostem, choć wielką duchem postać. - Ma serce jak dzwon, płuca, nawet nie trzeba zaglądać, ma dwie nogi, tyleż rąk, ma nawet mózg, tylko... brak mu pieczętki.

Tu postarałem się, żeby mój głos się nieco załamał. Przecież to naprawdę dobry człowiek, a jaki żeglarz! Twarz pani doktor łagodniała. Przysięgłbym, że w chwili, gdy sięgała po pieczętkę, zabłysła w jej oczach łza...

Ptasie szaleństwa

O drugiej zmęczeniu, ale gotowi powróciliśmy do portu. Na pokładzie



właśnie kończyła się huczna impreza, ale nikt nie potrzebował opieki. Jeżeli tak, to tak - oddaliśmy cumy i *DAR PUCKA* wyruszył na Bornholm.

Wiatr 0'B, księżyc w pełni, słychać pluskanie dokazujących rybek. W tak pięknych okolicznościach przyrody stanąłem za sterem, włączyłem „katarynę” i rozpocząłem rejs. Cisza nie trwała długo. Wiatr nie zjawił się wprawdzie do rana, ale zaraz po wejściu na tor wodny - po zmianie kursu na Hel - zaczęło delikatnie kołysać. Tak delikatnie, jak może kołysać przy wietrze 0 B i braku martwej fali. Mimo to barwne ptaki egzotyczne obudziły się bardzo szybko i jęły latać jak oszalałe. O świcie udało się opanować sytuację na tyle, że wiadro przekazywane było z rąk do rąk bez paniki.

Gdy minęliśmy półwysep, lekko powiało. Postawiliśmy żagle, po czym na wiele godzin zostałem za sterem sam. Wszyscy zmęczeni wymianą poglądów z Neptunem padli. „Bosman” poszedł spać, a „Marcel” po prostu się nie budził. Aby nie zrywać towarzystwa do manewrów baksztagami, postanowiłem pojeździć nieco za wiatrem, który zaczął zdecydowanie skręcać. Hel zniknął z pola widzenia, żeglowałem na północny wschód, wiatr się wzmacniał.

Wstali w siedemnastej godzinie mojej wachty. Dawało już



Sterować można na wiele sposobów...

czwórka, więc pawie rozpoczęły się od nowa. Przełożyliśmy DAR na południowy zachód, „Marcel” przejął koło. Zapadła decyzja: Władysławowo.

We „Władku” schorowani załoganci opuścili okręt. Na dalszą podróż nie mieli ani zdrowia, ani sił, ani ochoty. Ot marynarskie życie.

Bornholm zastępczy

Rankiem, po nocy spędzonej w porcie zabraliśmy na pokład kolejną grupę znajomych, jednak pomni przygód, zaproponowaliśmy przejażdżkę do... Helu. Bornholm się oddalał. No, ale większość już duńską wyspę odwiedzała, a poza tym - czego się nie robi dla przyjaciół. Chcieli pożeglować, ale nie zbyt długo.

Tym razem poszło jak po maśle. Wiało w plecy, „Bosman” przeszedł przyspieszony kurs sterowania, z trzymaniem kursu włącznie. Na Helu długie nocne debaty, śpiewy itd. Do świtu. Około ósmej obudziliśmy nas miły zapach jajeczniczy przyrządzonej przez „Bosmana”. Nie mógł spać, bo cały czas przeżywał emocje związane z pierwszymi własnoręcznie prowadzonymi halsami. Po śniadaniu podjęliśmy decyzję, że udamy się do Gdańska, na Motławę. Nie Dania to wprawdzie, ale w tej części miasto przypominające choćby Kopenhagę.

Obcy - czerwona ściana

Ruszyliśmy przy dwójce. Mgła, że na dziesięć metrów ledwo widać. Nic to - za sterem staje „Bosman”. Na razie obiera 190° i dzielnie rzeźbi w Zatoce Gdańskiej. Pozostali dwaj członkowie wyprawy, czyli „Marcel” i wyżej podpisany, dokonujemy zapisu w dzienniku i idziemy spać. Noc była wyczerpująca...

Mimo że rozkotys nas rozleniwiał, wiatr uśpił itd., w pewnej chwili obudziliśmy się. Jednocześnie. Bez cienia podejrzeń, choć wiedzeni jakimś instynktem wdraliśmy się na schody zejściówki. Na pierwszy rzut oka wszystko gra. „Bosman” nie odrywając wzroku

od kompasu mruczy - jest sto dziesięćdziesiąt, jest...

W tym momencie, ponownie nie wiadomo dlaczego, obróciliśmy głowy w stronę dziobu. Nogi się pode mną ugięły. Dziesięć metrów przed DAREM nagle wyrosła wielka, czerwona ściana. Tankowiec, masowiec, diabli go tam wiedzą, co to było, stał cicho na redzie i czekał. Na wejście do portu i na... „Bosmana”. Jak poparzeni wyskoczyliśmy z nawigacyjnej i rzuciliśmy się na koło, a siłą rzeczy na sternika. Był tak zaskoczony, że musieliśmy przekreślić prawo na burt razem z nim. Powstało ogólne zamieszanie (na pokładzie było nas tylko trzech). Przez kilka minut odgłosy męskiej wymiany zdań odbijały się od stalowego giganta i wędrowały w stronę Gdyni. Ostatecznie DAR minął się z potworem o metr, może dwa. Życie zostało mu darowane. Bom zachrobotał o wielką ścianę, a później wszystko ucichło. Mgła, mgła, mgła...

Motława piękna jak zwykle, uspokoiła kuflem piwa i uliczną muzyką. Szybko też dość niebezpieczne zdarzenie zamieniliśmy w żart.

A swoją drogą w związku z nieprzewidzianą nieosiągalnością Bornholmu nasuwa się ważne spostrzeżenie, któremu można nadać postać prawa: odległość do założonego celu żeglugi jest wprost proporcjonalna do kwadratu natężenia pożegnań.

Wszystko dobre, co się dobrze kończy.

Fot. z aren. Andrzeja Napierkowskiego



Przy rozkołysie z tym się trzeba liczyć